

Wspomnienia z Liceum Ogólnokształcącego Nr 14 w Warszawie.

Szkolne wczasy w Bułgarii – niezwykła przygoda

Na początku wyjaśnienie – w czasach szkolnych nie pisałem żadnych pamiętników. Prawie wszystkie opisane przeze mnie szkolne historie przytaczam teraz z pamięci. Jedynym wyjątkiem jest wyprawa do Bułgarii. Niedawno znalazłem swoje szkolne zeszyty: z polskiego i geografii. Pod datą 11 września 1961 mam napisane wypracowanie z polskiego pt: „Moje tegoroczne wakacje” – i opis tej wycieczki. Z tego wypracowania wykorzystałem pewne dodatkowe szczegóły. Możliwe, że część zabawnych historii klasowych oraz zdjęć znajdzie się w przygotowywanej do druku II części Monografii o XIV LO.

Wiosną 1961 roku dowiedzieliśmy się, że szkoła organizuje dla naszej klasy niezwykle ferie – miesięczny pobyt w Bułgarii ! Szkoła nawiązała współpracę z pewną firmą w Bułgarii, a konkretnie – z Zakładami Wysokiego Napięcia im. W. Kolarowa w Sofii. W ten sposób nasza klasa mogła pojechać do Bułgarii - tamta firma pokrywała koszty naszego pobytu (dokładniej wynajęcie domków letniskowych). My płaciliśmy tylko za podróż i wyżywienie (w następnym roku dzieci z Bułgarii spędzały w podobny sposób wakacje w Polsce). Przygotowania trwały wiele tygodni – wszyscy musieli wyrobić sobie paszporty, a o nie wtedy nie było łatwo i trzeba było długo czekać. Ale udało się!

Specjalnie z okazji wycieczki kupiłem nowy aparat fotograficzny - była nim Werra, małoobrazkowy aparat produkcji NRD. Jak wynika z zachowanych notatek, na wycieczkę wziąłem co najmniej 4 błony czarno-białe i jedną kolorową. W tych czasach w sklepach fotograficznych dostępne były głównie materiały czarno-białe polskiej produkcji (Fotonu) oraz rzadziej - produkcji znanej firmy z NRD. Jeszcze w 1960 roku udało mi się po raz pierwszy kupić 3 barwne błony negatywowe (firmy Agfa w Leverkusen; RFN).. Aby dłużej zachować ich „świeżość”, przechowywałem je w lodówce. Kiedy wyjeżdżałem do Bułgarii, zabrana błona Agfy była już przeterminowana o prawie rok...

Wyjazd nastąpił z Dworca Głównego w Warszawie w nocy 27 lipca 1961 roku. Łącznie pojechało 31 osób – prof. Mirosław Zawalił jako kierownik wycieczki, kilka dorosłych osób jako dodatkowa opieka i ok. 25 nas - uczniów.. Mieliśmy do dyspozycji cały wagon sypialny – 10 przedziałów po 3 łóżka w każdym (jedna osoba musiała więc spać w mniej wygodnych warunkach..) 29 lipca przed południem dojechaliśmy do Bukaresztu - tam dowiedzieliśmy się, że w podróży będzie kilkugodzinna (zaplanowana) przerwa. W upalny dzień mieliśmy czas na zwiedzanie stolicy Rumunii. Wieczorem ruszyliśmy dalej. Przekroczyliśmy granicę bułgarską na moście w miejscowości Russe i dopiero rano dojechaliśmy do Warny. Tu czekaliśmy na autobus, który miał nas zawieźć do „naszej” miejscowości o nazwie Biała Warnieńska (obecnie na mapach figuruje tylko jako „Biała”). Miejscowość liczyła wówczas ok. 3000 mieszkańców i była wówczas mało znana. Jechaliśmy dość długo i kiedy przyjechaliśmy na miejsce, było już prawie południe i wtedy na własnej skórze poczuliśmy żar słoneczny - temperatura na słońcu dochodziła do ok. 40 stopni ! Zostaliśmy zakwaterowani w kilku murowanych domkach, w których były 3-4 osobowe pokoje. Warunki były dobre – inne wycieczki mieszkaly w... blaszanych domkach (tam był upał w pokojach !)

Jeszcze tego samego dnia, po południu, udaliśmy się na plażę nad Morze Czarne. Plaża była w odległości co najmniej kilometra od naszego miejsca zakwaterowania, trzeba było iść ok. 15 minut. Aby znaleźć się na samej plaży, trzeba było zejść z dość stromego zbocza. Już pierwszy kontakt z wodą pokazywał różnicę w stosunku do wód Bałtyku. To morze miało piękny niebieski kolor, było bardzo ciepłe (ok 25 stopni – ja byłem przyzwyczajony do Bałtyku z temperaturą zwykle poniżej 15 stopni), ale woda była dużo bardziej słona. Wysokie temperatury podczas dnia sprawiły, że przebywanie na plaży w godzinach południowych było niebezpieczne. Dlatego chodziliśmy nad morze

zaraz po śniadaniu, po kilku godzinach wracaliśmy do naszych domków, potem szliśmy na obiad i dopiero po godz. 16 można było pójść drugi raz nad morze.

Na śniadania, obiady i kolacje chodziliśmy do niedaleko położonej stołówki, z której korzystały także inne wycieczki. Już podczas pierwszego śniadania mieliśmy mały problem – niektóre podane sery pachniały w niezbyt przyjemny sposób. Czy taka była ich „uroda”, czy to efekt upałów? Na wszelki wypadek większość z nas do pieczywa dodawała tylko miód lub dżemy. Kłopoty bywały także z obiadami: główne dania były albo bardzo tłuste, albo ostre - widać kucharki nie żałowały nam papryk i innych takich przypraw. Dla polepszenia trawienia każdy miał przydzielony pół litrowego kubka ciepłego mleka. Nie wszyscy lubili mleko – wtedy inni mogli wypić dwa kubki. Kiedyś doszło do awarii między mną, a jednym z kolegów w ilości wypitego mleka. Wygrałem - podczas picia piątego kubka mleka kolega „musiał” zrezygnować... Ja wypilem sześć kubków mleka (3 litry!) i wtedy miałem dość.

Po tygodniu naszego pobytu zostaliśmy zaproszeni przez Bułgarów na wieczorną „potańcówkę” na świeżym powietrzu. Był parkiet i była bułgarska orkiestra. Na początku przypatrywaliśmy się tańczącym Bułgarom. Tańczyli wolno, blisko siebie. Orkiestra grała różną muzykę, także tę zachodnią (może nie tę najnowszą). W pewnym momencie rozległa się szybsza muzyka – nie był to rock, ale od biedy można ją było tańczyć w ten sposób. Weszła jedna nasza para, potem druga, trzecia... Na parkiecie zrobiło się jeszcze ciasniej. A ponieważ rock wymaga miejsca do przerzucania partnerek, niektórzy Bułgarzy zaczęli schodzić z parkietu. Wkrótce zamiast 20 par bułgarskich było może 8 naszych... Bułgarzy ze zdumieniem patrzyli na nieznaną im tańiec i jak polska młodzież popisuje się niemal akrobatycznymi figurami. Niestety, nie trwało to długo...

Chyba po kilkunastu minutach usłyszałem jadący w oddali jakiś samochód na sygnale, potem był coraz bliżej i... do akcji wkroczyła bułgarska milicja, wezwana „na pomoc” przez jakiegoś mieszkańca Białej. Wszystko odbyło się spokojnie - poinformowano nas, że tańczenie rocka, cza-czy i rumbi jest tutaj zabronione...

W trakcie całego pobytu mieliśmy zaplanowanych kilka wycieczek. Szczególnie atrakcyjna była do Neseberu i Słonecznego Brzegu - dopiero wtedy do aparatu włożyłem jedyny barwny negatyw Agfy. Podczas upału przekraczającego 40 stopni (podobno czasami temperatura dochodziła do 50 stopni !) zwiedziliśmy Neseber - miejscowość położoną na wyspie połączonej z lądem czymś w rodzaju grobli. Początki Neseberu sięgają V wieku p.n.e. ! Zachowane zabytki pochodzą także z I i XII wieku n.e. Dowiedzieliśmy się także, miasto zostało założone przez kolonizatorów greckich w V wieku n.e., a ówczesna nazwa – Nesebria – znaczyła: „miasto w morzu”. Zrobiłem ponad 20 kolorowych zdjęć. Na kilka dni przed powrotem do Polski pojechaliśmy jeszcze zwiedzać Warnę i Złote Piaski.

Powrót zaczął się w ostatnich dniach sierpnia (prawdopodobnie 27 lub 28 tego miesiąca). Założyłem ostatnią błonę czarno-białą. Czekaliśmy na autokar, który nas zawiózł do Warny, tam wsiedliśmy do pociągu i ruszyliśmy do Warszawy. Cały dzień jechaliśmy przez Rumunię – trasa wiodła przez teren pofałdowany, często jechaliśmy przez liczne tunele. Wreszcie rano dojechaliśmy do Budapesztu. Kiedy podczas dłuższego postoju w tym mieście kolejarze robili przegląd techniczny wagonów okazało się, że nasz wagon sypialny jest uszkodzony i nie może jechać dalej (awaria dotyczyła kół w wagonie). Musieliśmy wysiąść i czekać na podstawienie drugiego wagonu. Po kilkunastu minutach Węgrzy podstawili nam wagon osobowy I klasy (ale nie sypialny). Nasze kierownictwo wycieczki nie zgodziło się na taką zamianę i w rezultacie opóźniony pociąg pojechał do Warszawy z pustym jeszcze wagonem, ale bez nas... A my czekaliśmy na peronie i nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. W pewnym momencie na peron, na którym byliśmy, powoli wjeżdżał - tyłem - długi pociąg towarowy. Wagony przejeżdżały, koło nas, przejeżdżały, aż wreszcie zorientowałem się, że pociąg może nie wyhamować w porę. A kiedy maszynista zaczął gwałtownie hamować, było już za późno. Usłyszałem z oddali huk, a po chwili wagony zaczęły gwałtownie uderzać jeden o drugi... Wreszcie pociąg stanął. Poszedłem zobaczyć skutki uderzenia wagonów o tzw. kozioł, który kończy tor. Myślałem, że ostatni wagon zniszczył tę blokadę i się wykołosił, a tu... nic. Potężne bufory powstrzymały ważący setki ton skład wagonów bez uszkodzenia !

Po południu udaliśmy się na obiad. W restauracji poza nami akurat nie było prawie nikogo. Po kilkunastu minutach przyszedł kelner, powoli przyjął zamówienie. Po kolejnych 20 minutach

zaczęliśmy dostawać zupeł... W tym czasie do tej samej sali przyszła niewielka grupa Niemców – kelner od razu się nimi zajął. Kiedy przechodził z kolejnymi daniami dla nich (a my czekaliśmy od dłuższego czasu na drugie danie), ktoś głośno rzucił uwagę na temat traktowania przez kelnerów Niemców jako gości „wyższej kategorii”. Kelner musiał to zrozumieć, bowiem od tego momentu również i my zaczęliśmy dostawać drugie danie...

W dalszym ciągu czekaliśmy w Budapeszcie na załatwienie możliwości wyjechania do Polski (nasze kierownictwo liczyło za załatwienie wagonu sypialnego). Nadszedł wieczór i dostaliśmy informację, że musimy opuścić Budapeszt przed północą (nie mieliśmy przecież węgierskich wiz...). Gdy w końcu znaleźliśmy się na dworcu (był tylko jeden pociąg o tej porze do Polski) okazało się, że Węgrzy zarezerwowali dla nas... cztery przedziały w wagonie II klasy. I tak bez sypialnego wagonu, w tłoku, z bagażami, jechaliśmy prawie dobę do Warszawy. I tak się nasza super-wycieczka skończyła...

W sumie zrobiłem prawie 200 zdjęć. Mimo iż nie posiadałem światłomierza, a czas naświetlania ustawiałem według tabeli naświetlań (i swojego doświadczenia), wyszło ponad 80% wszystkich zdjęć. Byłem ciekaw zwłaszcza zdjęć kolorowych. I po wywołaniu tej błony okazało się, że zdjęcia są zarówno lekko niedoświetlone, jak i niedowołane. W rezultacie zdjęcia kolorowe wyszły słabo. Po wykonaniu przez fotografa kilku odbitek zrezygnowałem z dalszego robienia odbitek – wyglądały tak, jak by oglądać je przez różowy filtr - niebo, morze, zieleń - wyglądały podobnie... Takich zdjęć nie było sensu pokazywać (także kolegom z klasy). Dopiero teraz, wykorzystując technikę komputerową zeskanowałem liczący ponad 45 lat negatyw i poświęcając po pół godziny na żmudną korektę barw każdego zdjęcia i usuwając drobne ryski, otrzymałem odbitki, które umożliwiają obejrzenie tych historycznych zdjęć w barwach zbliżonych do tych w rzeczywistości. Niestety, nie wszystkie zdjęcia przechowały się do dziś na oryginalnych negatywach. Cześć pozostała tylko w postaci odbitek. Ale i tak tych prawie 150 zdjęć (w tym ok. 20 kolorowych) jest dla mnie cenną pamiątką (i dokumentem).

. Na początku 2008 roku, przez ponad miesiąc przeglądałem swoje archiwum zdjęciowe szukając zdjęć wykonanych w XIV LO (i SP). Wygląda na to, że od VII do X klasy wykonałem łącznie kilkaset zdjęć – podczas lekcji, na przerwach, podczas zajęć z WF, podczas prywatek i podczas wycieczek. Nie wszystkie zdjęcia zachowały się do dziś; niektóre są słabe technicznie. Ale na pewno ok. 250 „nadaje się do pokazania”.

. Kilka moich zdjęć, które publicznie pokazuję po raz pierwszy, znajduje się na stronie Erica Behra, kilka umieściłem na portalu „Nasza-klasa” (należy znaleźć w wykazie szkół w Warszawie XIV LO, a potem klasę „B” z rocznika 1959-1963). Możliwe (jak napisałem na początku), że zdjęcia te (i kolejne) znajdują się w przygotowywanej do druku II części Monografii o XIV LO

Roman Fangor